

sprawy zależne było wyłącznie od sądu (art. 277 u. p. k.). Ten tryb postępowania obciążał nadmiernie sądy, które nie mogły się wszak ograniczać do formalnego zatwierdzenia wniosku prokuratora. Nowo wprowadzona zmiana zwalnia sąd od tych czynności, ograniczając interwencję sądu do tych przypadków, gdy było prowadzone śledztwo wstępne. Ustawodawca wychodził z założenia, że skoro władza państwowa przeznaczona do ścigania przestępców — prokurator — od oskarżenia odstępować nie ma potrzeby kontrolowania tej decyzji. Nowy stan rzeczy jest również zgodny z tendencjami panującymi w ustawodawstwie karnym, które dąży do tego, by procesowi kar-nemu nadać charakter kontradyktoryjny, gdzie prawa stron oskarżenia i obrony będą równe — sąd zaś winien być oczyszczony z pierwiastka śledczego. Jednak kontrola czynnika sędziowskiego nad sprawą zawieszenia lub umorzenia postępowania karnego nie została całkowicie wyeliminowana. Od decyzji prokuratora o zawieszeniu lub umorzeniu postępowania poszkodowanemu służy prawo skargi do prokuratora przy sądzie apelacyjnym, od decyzji zaś prokuratora apelacyjnego służy skarga do sądu apelacyjnego. Poza to sąd apelacyjny, dowiedziawszy się, że postępowanie karne zostało niesłusznie umorzone lub zawieszone, może własną władzą zażądać złożenia sprawy do swej decyzji nawet i w tych wypadkach, gdy nie wpłynęła skarga poszkodowanego.

(D. c. n.).

Jak się ustrzedz od kradzieży.

—:0:—

(Dalszy ciąg).

Garść przykładów.

Na zakończenie podam kilka faktów przedmiot oświełających, zaczerpniętych z mojej długoletniej praktyki.

W Tahalasse, stolicy stanu Floryda, z mieszkanka złożonego z jednego pokoju i kuchenki, podczas nieobecności lokatora, skradziono paręset dolarów. Były to z trudem uciulane oszczędności staruszka emeryta. Rabusia schwytałem jeszcze tego wieczora, gdy w podrzędnej szynkowni przepijał łup dzisiejszy.

Wzięty na indagację, złodziej złożył charakterystyczne zeznanie.

— Nie chwaląc się, należę do rzędu wytrawnych fachowców. Podczas moich poprzednich, dość częstych nieporozumień z policją w największych miastach Ameryki, ogólnie przyznawano mi nieporównany talent do fałszowania śladów i wogóle obalamucania najzdolniejszych wywiadowców.

Co się tyczy ostatniego mego wypadku, wtargnąłem do mieszkania utrzymywanego nadzwyczaj czysto i z wyszukaną systematyczno-

ścią. Człowiek przybyły do cudzego mieszkania, po otwarciu drzwi wytrychem, niema czasu na zabawianie się szczegółami. Mam wprawne oko i natychmiast doszedłem do wniosku, że lokator lubiący drobiazgowy porządek, nie trzyma starych i zapyłonych pantofli pod łóżkiem, na posadzce froterowanej, gdy tymczasem lepsze pantofle ukrywa w nocnym stoliku. Wyciągnąłem z pod łóżka owe stare graty i znalazłem to, czego szukałem. W podartych pantoflach ten pan, dla niepoznaki urządził sobie kasę. Zmysł sprostegawczy, fachowi rabusie mają nieraz olbrzymio wyrobiony.

W Milwaukee, rzeźmieszek zajmujący pokój frontowy przy ulicy podrogałkowej, wziął na obserwację fermera, który codziennie z rana przywoził jarzyny dla spieniężania na ulicy. Koń zaprzężony do jego wozu, miał na szyi ciężkie chomonto westfalskie, ozdobione u góry mosiężnymi rogami. Fermer zwykle, często podchodził do łba końskiego i za każdym razem dotykał jeden z owych rogów. Po kilku dniach obserwacji, złodziej wykorzystał chwilę nieobecności rolnika. Poskoczył do chomonta i z owego rogu, po odgięciu, wydobyl ukryty tam pokaźny zwitek studolarówek, ogółem na sumę coś trzech tysięcy.

Bywają jednak zdarzenia, że sprytny właściciel większych nawet pieniędzy, potrafi oszukać czujność rabusiów. Pewna szynkarka z pomniejszego miasta w stanie Wisconsin, przyjechała do Chicago, dla odbioru od reagenta pokaźnej schedy, otrzymanej po zmarłym krewnym. W przedsiönku biura notariusza, okiem przyzwyczajonem do oceniania szynkownianych gości, zauważyła figurę, która się jej mocno nie spodobała. Z węzełkiem w rękę opuściła kancelarię, i w kilka godzin później wsiadła do pociągu, który w ciągu nocy, miał ją zawieźć do domu. W wagonie, o zmierzchu, węzelek został jej skradziony. Nad ranem po przybyciu na miejsce, zwróciła się do szefa stacji z prośbą aby kazał odśrubować ściankę, służącą do osłaniania okna wagonu, przy opuszczaniu dla odświeżania powietrza. Przemyślna kobieta umiała obejść czujność rzeźmieszka, który na nią zagiął parol. W węzełku miała ułożone skrawki gazet, banknoty zaś, ułożone w dość cienkie paczki, przy wsiadaniu powrzucała za ściankę okienną. Złodziej z domniemanym łupem wymknął się z pociągu, sama zaś noc spędziła w spokoju. Policja wykryła owego zawiedzionego rabusia. Nie mógł sobie darować, że się tak dał wziąć wieśniaczce.

W Nowym Yorku w r. 1901-szym na główną stację policyjną zgłosił się złodziej fachowy John Dilckins, już trzykrotnie karany za prawdziwie po mistrzowsku dokonywanie kradzieże kieszeniowe. Zameldował się szefowi i oznajmił, iż zohydził sobie zawód przestępcy, postanawia wejść na uczciwą drogę i prosi ażeby swoje zdolności mógł odtąd poświęcić służbie policyjnej. Tak wiele było szczerości w jego oświadczeniu, iż szef ówczesny przyjął go na próbę, oddając po cichu pod dozór najwytraw-

niejszych policjantów. Dilckins okazał się nader pożytecznym nabytkiem. Znając wszystkie tajemnicze skrytki i wszystkich najwybitniejszych łotrów, stał się postrachem szumowin nowojorskich. Sam będąc „genialnym” doliniarzem, w kilku wypadkach, odpowiednio ucharakteryzowany, poprostu odkradał rabusiom skradzione przez nich pugilaresy i biżuterje. W r. 1903-cim, otrzymał szczególną misję. Jeden z posłów pewnego państwa, użył go do odszukania zaginionych papierów wybitnej wartości politycznej. Dilckins uzyskałszy urlop, pojechał do Europy i w ciągu krótkiego czasu, kwestjonowane dokumenty, jak się zdaje, wykradł z walizy przywłaszczyciela. Za powrotem do N. Yorku zapomniał iż uczynił to w pociągu, lecz z innej strony było wiadomem, iż rzecz rozstrzygnęła się sposobem czysto złodziejskim w pokoju pierwszorzędnego hotelu w Londynie czy w Paryżu. Po kilku latach uczciwej i gorliwej służby policyjnej, Dilckins otrzymał stanowisko etatowe, we dwa lata zaś, na szczególne postanowienie władzy, przywrócono go do czci obywatelskiej. Lata przepędzone w więzieniu odebrały mu wątłe zdrowie. Dilckins umarł przed kilku laty, jako bezzenny, zapisując swój skromny fundusz na cele społeczne i filantropijne. Żałowano go po śmierci jak szanowano za życia. I jeszcze odnaleziony w moich notatach wypadek, ciekawy lecz nie z mego osobistego zdarzenia, gdyż było to na trzy lata przed moim wstąpieniem na służbę. Właściciel niewielkiego składu owoców i jarzyn, Kusner, w N. Yorku na ul. Wabash, miał na składzie pomiędzy innymi i dynie. Mając do czynienia przeważnie z ubogą klientelą, dynie sprzedawał na funty.

Pewnego razu, przy przekrawaniu wielkiej dyni, znalazł w niej kamyk. Zaciekawiony, pokazał to jednemu ze znajomych, który w niepozornym kamyku, rozpoznał brylant nieoszlifowany, dość nieposzredniej wielkości. Uczciwy sklepikarz zawiadomił o znalezieniu policję. Według orzeczenia specjalistów, brylant w obecnym swoim stanie mógł być wart około 3000 dolarów. Przystąpiono do śledztwa. Hurtownia owoców, nabyła dynie ostatnimi czasy od kilkunastu fermerów podmiejskich. Wybadano większą ich część i natrafiono na rdzeń prawdy. U jednego z tych fermerów pracował przez czas jakiś wloch, niedawno przybyły z kopalni brylantów na Mozambiku. Człowiek ten dawał do zrozumienia, iż posiada „skarby, który jest dobrze ukryty”. On to widocznie umieścił kamień w dyni, która w czasie dojrzewania, byłby niezawodnie otworzył. Przed dwoma tygodniami właściciel brylantu kąpiąc się utonął w rzece tak, iż niemógł skorzystać ze sposobności użytkowania rzeczy prawdopodobnie po cichu wyniesionej z kopalni. Kamień został sprzedany na rzecz skarbu, znalazca zaś otrzymał prawną nagrodę.

(D. c. n.).

zienia za to, że mu przeszkadzałem w interesach majątkowych”. Ten świadek był sądzony w tymże sądzie również (1 maja 1915 r.) jednak podczas rozprawy ks. Pruskiego, był w poczekalni i nie może stwierdzić, kto był badany w charakterze świadków, ale oświadcza: „zdaje mi się tylko, że na sali rozpraw był Szwarcencer”.

Świadek Teofil Missorek, burmistrz, który będąc zaareztowany pod zarzutem przewożenia listów i proklamacji, siedział w więzieniu w Kutnie razem z ks. Pruskim zeznał, że ks. Pruski prosił go, aby w razie gdyby on, ks. Pruski, zginął, zameldował władzom polskim, że do jego śmierci przyczynił się tylko Szwarcencer, który, wiedząc jego adres łódzki, zakomunikował go władzom okupacyjnym i zadenuncjował, że to on właśnie wydał lotnika i aeroplan w ręce kozaków, a uczynił to Szwarcencer w tym celu, aby pozbyć się, jego, księdza, który przeszkadzał mu w administrowaniu i rozporządzaniu się majątkiem Szypowskiego.

Po wyroku ks. Pruski napisał w więzieniu w Kutnie list datowany 30-31 maja 1915 r. pod adresem Stanisława Szypowskiego, w którym to liście stwierdza, że winowajcą wydania go w ręce niemieckie jest Józef Szwarcencer, któremu on podczas spotkania w Miłonicach (w dniu 14 kwietnia) dał swój adres prawdziwy w mieszkaniu swego brata w Łodzi, przyczem w liście znajduje się następujący ustęp: „I tak siedzę tydzień, a po upływie którego wołają

mnie do kancelarii. Tu widzę jakiegoś urzędnika, a wraz z nim Szwarcencera, który się odzywa—to jest pan Szypowski? ja przyjechałem aby ratować p. Szyp., nie to jest ks. Pruski, ja na to—tak ja jestem ks. Pruski. Więc jazda do protokołu. Tutaj dowiaduję się tego, o czym mówiłem do Tarnowskiego, a mianowicie, że miałem podać fałszywy adres — ale ja na to „wszak panowie widzicie, że podałem Szwarcencera dobry adres . . . a Szwarz . . . coś sobie ksiądz zrobił . . . częstuje papierosami . . . daje dziesięć marek, a na pożegnanie całuje mnie. Obludnik”.

Oskarżony Szwarcencer na śledztwie tak charakteryzuje swój pobyt w Łodzi: W sądzie wojennym jakiś sędzia, a następnie i Sze-dziński po przejrzeniu akt objaśnili mnie, że Szypowski nie jest winien i że będzie zwolniony. Wiadomością tą ucieszyłem się i zaraz nakupowałem dużą ilość jedzenia, papierosów i t. p., aby przy pierwszym widzeniu z Szypowskim ucztować go jeszcze w więzieniu”.

Świadek Stanisław Szypowski twierdzi, że Szwarcencer dobrze wiedział, iż on, świadek Szypowski, nie pali papierosów. Wedle zeznania tegoż Szypowskiego, Szwarcencer, opowiadając mu o przebiegu zdemaskowania, przyznał się, iż jadąc do Łodzi spodziewał się zastać w więzieniu ks. Pruskiego, nie zaś jego, Szypowskiego, jednak pewnym tego nie był.

Świadek Irena Pruska, siostra ks., zeznała, iż już po osądzeniu jej brata spotkała na ulicy w Kutnie tłumacza sądu wojennego, a ten podchodząc do nich oznajmił, że niepotrzebnie robią starania o uratowanie księdza, gdyż jest tu taki jeden mason, który nie pozwala aby go uwolnić. Radca wojenny niemiecki w Łodzi Gletzner, również zaznaczył świadkowi: że jest jeden taki, który potępia jej brata i nastaje na to, aby go nie wypuścić. Na pytanie jej o nazwisko, Gletzner odpowiedział, iż jest to tajemnica.

Dnia 17 czerwca 1915 r. ks. Franciszek Pruski został na mocy wyroku przez okupantów rozstrzelany.

Świadek Ignacy Cygański zeznał, że w końcu 1916 r. rozmawiał w swoim majątku Cyganach gm. Krośniewice, z sędzią wojennym z Kutna, Krücke, w sprawie ks. Pruskiego. Sędzia Krücke twierdził, że księdzu zaszkodził „ten łajdak Szwarcencer”, jak się wyraził Krücke.

Świadek Zdzisława Dunin Borkowska na jesieni 1915 r. niejednokrotnie rozmawiała z niemieckim komendantem z Krośniewic Hermanem Kippenbergiem, który w 1918 r. był członkiem sądu wojennego niemieckiego; powiedział on świadkowi, że ksiądz był sądzony o szpiegostwo, że zebrano zbyt dużo dowodów winy księdza i że do skazania go najwięcej przyczynił się Szwarcencer.

(D. c. n.)